

# Stanisław Lem

---

## Teoria wstępu

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (9), 181-188

---

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Wstępy

*Stanisław Lem*

## Teoria wstępu \*

Sztuka pisania wstępów od dawna domaga się indygenatu. Od dawna też oblegała mnie potrzeba zadośćuczynienia temu piśmiennictwu pod zaborem, które milczy o sobie od czterdziestu wieków — w niewoli dzieł, do jakich je przykuto. Kiedyż, jeśli nie w epoce ekumenizacji, to jest wszechracji, należy wreszcie obdarzyć niepodległością ten gatunek szlachetny, kielżnany w powiciu? Liczyłem wszakże na to, że ktoś inny wypełni tę powinność, nie tylko estetycznie zgodną z rozwojowym kierunkiem sztuki, ale moralnie wprost nagłącą. Niestety, przeliczyłem się. Próżno patrzę i czekam: nikt jakoś nie wyprowadza Wstępopisarstwa z domu niewoli, z kieratu pańszczyźnianych służb. A więc nie ma rady: muszę sam, jakkolwiek z poczucia obowiązku raczej, niż z odruchu serca, pospieszyć z pomocą Introdukcyjnistyce — zostać jej wyzwolicielem i akuszerem. Ma ta ciężko doświadczona dziedzina swoje państwo dolne, Wstępów najemnych, pociągowych, zaciężnych i zgrzebnych, albowiem niewola deprawuje. Zna też zadufanie i narymność, gest zdawkowy i zadęcie jerychońskie. Oprócz szeregowych wstępów istnieją też szarże — jako Przedmowy i Wprowadzenia, a i zwykłe Wstępy nie są sobie równe, bo czymś innym jest wstęp do książki własnej,

---

\* Teoria wstępu jest wprowadzeniem do zbioru wstępów, który ukaże się pod tytułem *Wielkość urojona*.

innym zaś — do cudzej. Także poprzedzić nim pierwsze wydanie to coś innego, aniżeli wkładać trud w pomnażanie wstępów do wydań licznych a kolejnych. Moc zbioru wstępów, nawet nijakich, którą obrosło dzieło, namolnie wciąż wydawane, obraca papier w opokę porażającą knowania Zoilów — któż bowiem ośmielił się zaatakować książkę z takim przedpiersiem pancernym, spoza którego już nie tyle treść jej widać, ile takowej szacowność nietykalną! Wstęp bywa zapowiedzią powściągliwą z dostojności lub dumy, obliwem sygnowanym przez autora, to znów — wymuszoną przez konwenans, pobieżną choć i przyjazną — manifestacją symulowanego w gruncie rzeczy zaangażowania się jakiegoś autorytetu w książkę: więc jej listem żelaznym, glejtem, przepustką do wielkiego świata, wiatykiem z możliwych ust — chwytem daremnym, który ciągnie w górę to, co i tak utonie. Niewypłacalne są te weksle — i tylko rzadko który sygnie złotem a jeszcze procentami obrodzi. Lecz wszystko to pomnę. Nie zamierzam wdawać się w taksonomię Introdukcyjistyki, ani nawet w elementarną klasyfikację tego postponowanego dotąd, na kantarach trzymanego rodzaju. Cuganty czy chabety — jednakowo w nim zaprzęgiem chodzą. Niechże się Linneusze zajmą tą pociągową stroną rzeczy. Nie takim wstępem poprzedzam moją małą antologię Wstępów Wyzwolonych.

Wypada tu zstąpić do głębi. Czym może być wstęp? Zapewne — reklamiarstwem łączym w żywe oczy, ale również — wołaniem na puszczy Jana Chrzciciela czy Rogera Bacona. Refleksja wskazuje nam więc, że oprócz Wstępów do Dzieł istnieją Dzieła-Wstępy, albowiem tak Święte Księgi wiar wszelkich, jak tezy i futuro-machie uczonych są Przedmowami — do Tego i Tamtego świata. Namysł zdradza więc, że Państwo Wstępów jest nieporównanie rozleglejsze od Państwa Literatury, co ona bowiem z i s c i ć usiłuje, to Wstępy tylko zapowiadają — z oddali.

Odpowiedź na już nabrzmiewające pytanie — po kiego licha trzeba się wdawać w walkę o wyzwolenie wstępów i proponować je jako suwerenny gatunek pisarski, prześwituje z dopiero co powiedzianego. Można jej udzielić albo jak z bicia strzelił, albo przywołując na pomoc wyższą hermeneutykę. Najpierw da się ten projekt uzasadnić bezpatetycznie — z liczydłem w ręku. Czy nie za-

graża nam potop informacyjny? I czy nie w tym jego potworność, że on piękno pięknem miazdzy, a prawdą — prawdę unicestwia? A to, ponieważ głos miliona Szekspirów jest taką samą wrzawą i wściekłym hałasem, jak głos stada bawołów na stepie lub bałwanów na morzu. Tak miliardowe sensy, zderzając się, nie honor przynoszą myśli, lecz zgubę. Czy w obliczu takiej fatalności nie jest już tylko Milczenie zbawienną Arką Przymierza Twórcy z Czytelnikiem, skoro pierwszy zdobywa zastęgę, powstrzymując się od snucia treści jakichkolwiek, a drugi — przyklaskując tak okazanej rezygnacji? Zapewne... i można by powstrzymać się od pisania n a w e t samych wstępów, lecz wówczas akt objawionej powściągliwości nie będzie dostrzeżony, tedy i ofiara nie przyjęta. Toteż są moje Wstępy zapowiedziami takich grzechów, od których się powstrzymam. To — na planie kalkulacji zimnej i czysto zewnętrznej. Lecz rachuba nie wyjawia jeszcze, co Sztuka zyska na ogłoszonych wyzwolinach. Wiemy już, że i niebieskiej manny nadmiar działa kamienująco. Jak się od niego ratować? Jak ocalić ducha od samozagwożdżenia? I czy doprawdy właśnie tutaj ocalenie, czy właśnie przez Wstępy dobra droga prowadzi?

Przywołany doktor świetlisty, z hreczkosieja hermeneutyk, Witold Gombrowicz, tak by rzecz wyłożył. Nie o to idzie, czy komukolwiek, a choćby i mnie, pomysł uwolnienia Wstępów od Treści, jakie mają zapowiadać, podobał się — albo i nie podobał. Podlegamy bowiem bezapelacyjnie prawom Ewolucji. Formy. Sztuka nie może stać w jednym miejscu ani powtarzać się w kółko: właśnie przez to nie może się t y l k o podobać. Jeśli zniosłeś jajko, musisz je wysiedzieć; jeśli wylął ci się z niego ssak miast gada, trzeba mu dać coś do possania. Jeżeli więc kolejny krok doprowadza nas do tego, co budzi powszechną niechęć, a nawet stan przywomitalny, nie ma rady: dopracowaliśmy się już Tego Właśnie, już tak daleko dopchaliśmy i dociągnęliśmy samych siebie. Więc z wyższego niż przyjemność nakazu przyjdzie nam obracać w oku, w uchu, w umyśle — Nowe, katęgorycznie zaaplikowane, bo zostało odkryte na drodze hen wzwyż — tam, gdzie nikt uprawdzie nie bywał i bywać nie chce, skoro nie wiadomo, czy da się Tam choć przez chwilę wytrzymać — lecz, zaiste, dla Rozwoju Kultury nie ma to najmniejszego znaczenia! Lemat ten, z dezynwolturą, właściwą nonszalanckiej genialności, każe nam jedną — starą — spon-

taniczność, więc nieświadomioną niewolę — na nową zamienić; nie rozciąga pęt, lecz tylko lonżę nam wydłuża; jakoż gna nas w Niewiadome, zwąc wolnością — zrozumianą konieczność.

Lecz ja, wyznaję uczciwie, innego łaknę uzasadnienia dla herezji i buntu. Powiadam tedy: jest poniekąd prawdą, co się rzekło po pierwsze i po wtóre, lecz nie całą prawdą — i nie całkiem podobną do musu, albowiem, po trzecie, możemy zastosować do kreacji algebrę, u Wszchemocnego podpatrzoną.

Proszę zwrócić uwagę na to, jak przegadana jest Biblia, jaki różlewny Pentateuch w opisach rezultatu Genezis — i jak lakoniczny w pokazywaniu jej receptury! Był bezład i chaos, aż nagle — ni z tego, ni z owego — powiada Pan: „Niech się stanie światło”. Zaczem stało się i już, a między jednym a drugim nic — ani szparki nie było, ani sposobu? Nie wierzę! Między Chaosem a Stworzeniem była czysta intencja, światłem jeszcze nie porażona, w Kosmos nie zaangażowana do końca, nie ubrukana — rajską nawet ziemią.

Było bowiem wtedy i tam powstanie szans, lecz nie — spełnienie. Był zamiar, przez to boski i dlatego wszchemocny, że się jeszcze w działanie obracać nie zaczął. Było zwiastowanie — przed począciem...

Jak nie skorzystać z tej nauki? Nie o plagiat idzie, lecz o metodę. Skąd to wszystko poszło? Z początku, oczywiście. A co było na początku? Wstęp, jak już wiemy. Wstęp, ale nie samoswój, nie sobiepański, lecz Wstęp do Czegoś. Przeciwstawmy się wyuzdanemu ziszczeniu, jakim była Genezis — zastosujemy do jej pierwszego lematu algebrę powściągliwszej kreacji!

Podzielimy mianowicie całość przez „Coś”, „Coś” zniknie wówczas i pozostaniemy — jako z rozwiązaniem — ze Wstępem, oczyszczonym od złych skutków, od wszystkich gróźb Wcielenia — albowiem czysto intencjonalnym i w tym stanie — bezgrzesznym. Nie jest to świat — lecz punkt tylko bezwymiarowy — ale właśnie dlatego w bezkresie. O tym, jak sprowadzić do niego literaturę, powiemy za chwilę. Pierwej przypatrzmy się jej sąsiedztwu, bo nie jest ona przecież samotnikiem-anachoretą.

Wszystkie sztuki usiłują dziś wykonać manewr zbawienia, ponieważ wszchemrozprężanie się twórczości stało się jej zmorą, gonitwą, ucieczką. Jak Uniwersum, eksploduje Sztuka w pustkę — nie znajdując oporu, więc oparcia. Skoro wszystko już można, to i nic

nie warte; i pęd obraca się w cofanie, ponieważ wracać chcą Sztuki do źródła — a nie umieją.

Malarstwo, w palącym pożądaniu granic, wlaźło w malarzy: w ich skórę — i oto artysta wystawia już samego siebie, bez obrazów. Więc jest obrazoburcą wychłostanym pędzłami czy utarzany w oleju i w temperze — albo całkiem goły na wernisażu, bez barwnej przyprawy. Niestety, ten nieszczęśnik nie może dotrzeć do autentycznej nagości: to nie Adam, to tylko jakiś pan, do rosołu rozebrany.

A rzeźbiarz, podtykający nam swe nie okrzeseane kamienie czy uwznioślający ekspozycję byle śmieci, usiłuje wleźć na powrót w paleolit, w praczłowika — bo nim, czyli Autentykiem chce zostać! Lecz gdzie mu do jaskiniowca! Nie tędy droga w surowe mięso barbarzyńskiej ekspresji! Naturalia non sunt turpia — ale to nie znaczy, że byle prostacze zdziczenie jest powrotem do Natury!

A co, proszę? Wyjaśnimy rzecz na przykładzie muzyki. Największa i najbliższa szansa przed nią bowiem stoi otworem.

Źle czynią kompozytorzy, łamiąc kontrapunktowi gnaty i puszczając komputerami Bachów na rozkurz. Także deptanie elektronami ogonów wzmocnionego stukrotnie kota, nic, oprócz stada sztucznych wyjćów, nie urodzi. Falszywy kurs i ton! Nie nadszedł jeszcze świadomy celu zbawiciel-nowator!

Czekam go niecierpliwie — oczekuję jego utworu muzyki konkretnej w odkłamywaniu, powracającej na Przyrody łono, utworu, który będzie utrwaleniem owych popisów chóralnych choć prywatnych ściśle, jakim się każda publiczność oddaje w koncertowej sali — tylko zewnętrznością skupienia kulturalna, tylko oswojoną peryferią organizmów kontemplująca spoconą orkiestrę.

Sądzę, że ta stumikrofonowo podstuchana symfonia będzie miała ciemną, monotonną instrumentację, flakom właściwą, bo jej brzmieniowe tło utworzą wzmocnione Basy Jejunalne, czyli Borygmy osób zapamiętałych w nieuchronnym brzuchoburstwie — w kruczeniach osadzonem, gulgotliwie dokładnym i pełnym zdesperowanej ekspresji trawiennej — albowiem autentyczny, skoro organiczny, a nłe organowy jest ten głos trzewi — głos życia! Ufam też, że leitmotiv rozwinie się w takt siedzeniowej perkusji, wyakcentowanej poskrzypywaniem krzesel, z silnymi, spazmowymi wejściami smarknięć i z akordami świetnie koloraturowego kaszlu. Zagrają bronchity... i przeczuwam, tu właśnie, niejedno

solo wykonane z maestrią astmatycznej sędziwości, istne *Memento mori vivace ma non troppo*, popis agonalnego piccolo, bo autentyczny trup zakłapie na trzy czwarte do taktu sztucznymi szczękami, bo uczciwy grób zaświszcze w rozrzużonej tchawicy — otóż, taka Prawda Przewodu Symfonicznego, tak życiowa, jest nie do podrobienia!

Cała somatyczna inicjatywa ciała, dotychczas najfatszywiej w świecie zagłuszana muzyką sztuczną, wbrew ich brzmieniom tragicznie, bo nieodwołanie własnym, domaga się triumfalnej rewindykacji — jako Powrotu do Natury. Nie mogę się mylić — wiem, że prawykonanie Symfonii Wisceralnej będzie przełomem, albowiem tak i tylko tak tradycyjnie bierna, stłumiona do szmeru rozwijanych miętówek publiczność przejmie — nareszcie! — inicjatywę i w roli autoorkiestry wykona powrót do siebie — zapamiętała we wszechodkłamaniu, tym hasle naszego wieku.

Twórca-kompozytor znów stanie się jeno kapłanem-pośrednikiem pomiędzy struchlałą rzeszą a Mojzą — albowiem los flaków naszych jest naszym Przeznaczeniem...

Tak to dystygowana zbiorowość znawców-słuchaczy dozna auto-symfonii bez postronnych brząkań, ponieważ w tym prawykonaniu już tylko samą sobą będzie się delektowała — i trwożyła... A co z literaturą? Domyślcie się już chyba: ja chcę wam ducha waszego oddać — w całym jego obszarze — tak jak muzyka wisceralna oddaje publiczności jej własne ciało — czyli w samym środku Cywilizacji do Natury zstępuje.

Dlatego właśnie Wstępopisarstwo nie może już trwać dłużej pod kłatwą niewoli — wyłączone z prac wyzwolicielskich. Nie tylko beletrystów i ich czytelników podżegam więc do powstania. A mam na myśli bunt, nie skołowanie powszechne — nie podbechtywanie widzów teatralnych, żeby włązili na scenę, lub żeby scena na nich włąziła, przez co, tracąc dawną pozycję wyższości miłej, zostają ze zlikwidowanego azyłu widowni wtrąceni w kocioł świętego Wita. Nie drgawka, nie zbakierowana mimikra jogi, lecz Myśl jedna może nam wolność przywrócić.

Tak więc, odmawiając mi prawa walki wyzwoleńczej w imieniu i dla dobra Wstępów, skazałbyś się, szanowny Czytelniku, na wstecznicstwo, na staroświecczyzną zakamieniałą, i choćbyś nie wiedzieć jaką brodę sobie zapuścił — nie wejdziesz do nowoczesności.

*Ty natomiast, Czytelniku biegly w antycypowaniu Nowego, ty, Postępowcze z błyskawicznym refleksem, wibrujący swobodnie w Modospadach naszej ery, ty, który wiesz, że skorośmy załżli wyżej niż nasz prakuzyn małpi (na Księżyc przecież), musimy leżć dalej — ty pojdziesz mnie, i połączysz się ze mną w poczuciu spełnionego obowiązku.*

*Ja ciebie oszukam, a ty mi za to właśnie wdzięczność okażesz. Ja złożę ci zaprzysiężoną obietnicę, ani myśląc jej dotrzymać, a ty właśnie tym będziesz zaspokojony, czy przynajmniej udasz z maestrią godną sprawy, że tak jest. Tępalom zaś, co by nas pospołu wykląć chcieli, powiesz, że odpadli duchem od epoki i stoczyli się na wysypiska staroci, przez pośpieszną Rzeczywistość wyplutej.*

*Powiesz im, że nie ma rady. Wekslem bez pokrycia (transcendentalnego), zastawem (sfalszowanym), zapowiedzią (niewykonalną) — najwyższą formą alteracji została dziś sztuka.*

*A więc tę właśnie jej pustkę i tę niewykonalność trzeba wziąć za dewizę i opokę. I dlatego właśnie ja, piszący Wstęp do Małej Antologii Wstępów, jestem w dobrym prawie, albowiem proponuję wprowadzenia, wprowadzające do nikąd, wstępy nigdzie nie wstępujące, oraz przedmowy, po których żadne mowy się nie rozlegną.*

*Lecz każdym z tych posunięć pierwszych otworzę ci pustkę innego rodzaju i koloru znaczeniowego, mieniającą się właściwym prążkiem widma Heideggerów. Będę z entuzjazmem, z nadzieją i z wielkim hałasem otwierał drzwi oltarzy i tryptyków, zapowiadał ikonostazy i carskie wrota, będę klękał na stopniach obrywających się u progu podprzestworza — nie to, że opustoszałego, lecz takiego, w którym nic nigdy nie było — i nie będzie. Ach, zabawa ta, najpoważniejsza z możliwych, wprost tragiczna, jest parabolą naszego losu, ponieważ nie ma drugiego wynalazku tak ludzkiego ani takiej własności i ostoi człowieczeństwa, jak pełno-brzmiaący, wylugowany z obligów, wchłaniający na amen nasze jestestwa — Wstęp do Nicości.*

*Cały świat kamienny i zielony, wystygły i huczący, zaogniony w chmurach i w gwiazdach zakopany dzielimy ze zwierzętami i roślinami. Nicość atoli naszą domeną jest i specjalnością. Odkrywca nicości jest człowiek. Ale ona, to trudna, to taka niebywała, bo niebyła rzecz, której ani próbować nie można bez sta-*



rannej zaprawy, duchowych ćwiczeń, bez długotrwałej nauki i treningu. Nie przygotowanych poraża w słup — toteż do komunikowania się z nicością precyzyjnie nastrojoną, bogato zorkiestrowaną, trzeba się sumiennie szykować — a to czyniąc każdy krok w jej kierunku możliwie ciężkim, wyrazistym i materialnym.

A więc ja ci tu będę pokazywał Wstępy, jak się pokazuje wsporniale rzeźbione odrzwia, złotem kute, zwieńczone gryfami i grafami w nadprożach majestatycznych, będę przysięgał na tę ich litą, dźwięcznie masywną, ku nam zwróconą stronę po to, aby rozwierając je skupionym szarpnięciem ramion mego ducha, wtrącić czytającego w nic — a tym samym wytrącić go ze wszystkich naraz bytów i światów.

Cudowną swobodę zapewniam i gwarantuję, dając słowo, że Tam nie będzie Nic.

Co zyskam? Stan najbogatszy: ten — sprzed Stworzenia.

Co zyskasz? Wolność najwyższą — bo żadnym słowem nie zakłócę twego słuchu w czystym wzlocie. Ja ci go tylko wezmę, jak miłośnik bierze gołębia, i cisnę nim, jak kamieniem Dawidowym — jak kamieniem obrazy — aby poleciał w ten bezkres — na wieczne używanie.